

TO JAK Z OBŁOKAMI NA POGODNYM NIEBIE.

O środowisku literackim Zielonej Góry, latach siedemdziesiątych i pisaniu wierszy z profesorem Romualdem Markiem Jabłońskim rozmawia Mirosława Szott

Mirosława Szott: Jest Pan klasyfikowany pokoleniowo razem z Eugeniuszem Kurzawą i Czesławem Markiewiczem. To grupa opozycyjna (wg Markiewicza) w stosunku do wczesnych roczników pięćdziesiątych (Jolanta Pytel, Czesław Sobkowiak, Mieczysław J. Warszawski). Czy zgadza się Pan z takim podziałem? Czy czuł Pan, że byliście „osobni”?

Romuald M. Jabłoński: Myślę, że nie trzeba mówić o wyraźnej opozycji. Nie pamiętam tego dokładnie, ale prawdopodobnie było tak, że w chwili mojego debiutu nie znałem dokładnie twórczości Pytel, Sobkowiaka i Warszawskiego. Później, w różnych okolicznościach, spotykałem się z Warszawskim. Bardzo ceniłem (i cenię nadal) jego poezję. On z kolei, jako starszy kolega po piórze, nakłaniał mnie do pisania wierszy, twierdził, że są bardzo ciekawe (nawet wtedy, gdy inni wyrażali się o nich niezbyt dobrze). Według mnie, potrafił je trafnie interpretować, bo miał poetyckiego nosa – „czuł” je, bo był poetą. Kiedy spotykałem Mietka, to często otrzymywałem w prezencie tomik jego wierszy. Zawsze z dedykacją, taką pół żartem, pół serio. Na przykład: „Romkowi M. Jabłońskiemu ten byle jaki tomik wierszy, abyś, Romku, nie pisał coś podobnego, bo Ciebie stać na coś większego”. W konkluzji: to nie była opozycja, to raczej swobodne przejście, przenikanie, swoista osmoza – to tak jak z obłokami na pogodnym niebie.



MS: W 1975 roku z inicjatywy Koła Dziennikarzy Studenckich wydrukowano pierwszy numer jednodniówki „Faktor”. Drukował Pan w „Faktorze” swoje teksty (tam też debiutował). Jak Pan wspomina czas studiów i kolegów działaczy? Czy rywalizowaliście ze sobą?

RMJ: „Faktor” to było wydarzenie (można by napisać wielką literą: „Wydarzenie”). Teksty, które publikowałem w jednodniówce, były bardzo różne. Czasami trochę dziwaczne (pamiętam fragment wiersza: „złamoko oślepkark”). Koledzy skupieni wokół „Faktora” (np. Andrzej Buck, Eugeniusz Kurzawa) byli obdarzeni – mówiąc patetycznie – charyzmatem działacza. Kurzawa – energiczny, rzutki, animator studenckiego życia literackiego. Można mówić o wzajemnym wspieraniu się, ale także o rywalizacji. Na przykład: Czesław Markiewicz wszędzie głosił, że napisałem wspaniały wiersz *Zemsta Jurysia* (był publikowany chyba w „Nadodrze”), ale nie o wszystkich moich lirykach wyrażał się z takim uznaniem. Ja podziwiałem Markiewicza i „zazdrościłem” mu tego, że szybko wydał tomik wierszy (w słynnej serii „Pokolenie, które wstępuje”). Pisałem zupełnie inaczej niż Czesiek, niektóre jego teksty nie podobały mi się – ale to on często był laureatem konkursów literackich. Moje wiersze nie spotykały się z uznaniem jurorów. Tego też mu „zazdrościłem”. Piszę „zazdrościłem” w cudzysłowie, bo w tej zazdrości nie było pierwiastka zła – to było raczej uznanie dla osiągnięcia kolegi połączone z pragnieniem znalezienia się w jego sytuacji (np. możliwość oddychania atmosferą konkursu literackiego).

MS: Jak Pana pokolenie odbierało aktywność najstarszych pisarzy Środkowego Nadodrza? W jaki sposób traktowaliście „Nadodrze”? Kto był dla Pana autorytetem?

RMJ: Trudno mi wypowiadać się w imieniu całego pokolenia, bo nie wszystko pamiętam. Wydaje mi się, że dla wielu moich kolegów autorytetem był Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (prawdopodobnie dla Markiewicza i Kurzawy). Ja nie lubiłem jego poezji i nie zależało mi na jego opinii o moich wierszach. Nie mogę też wskazać pisarza, który był dla mnie autorytetem. W moim przypadku można mówić – użyję metafory – o zachłyśnięciu się poetyckim słowem. Było to jednak słowo wielkich (np. Cypriana Kamila Norwida, Bolesława Leśmiana, Leopolda Staffa, Juliana Tuwima, Tadeusza Nowaka), nie słowo pisarzy Nadodrza.

„Nadodrze” było ważne, ponieważ mogłem tam publikować swoje teksty. W redakcji pracowali znani i dobrzy poeci (np. Janusz Koniusz) – druk w „Nadodrze” był więc formą wyróżnienia.

MS: Wiele nadziei pokładali w Panu krytycy. W jednym posłowie do Pana tomiku Markiewicz napisał, że był Pan w latach siedemdziesiątych jednym z najbardziej utalen-

towanych poetów studenckich w Polsce. Co się stało z Jabłońskim, który tak wyraźnie debiutował? Co się w Panu zmieniło przez te 40 lat?

RMJ: W okresie studiów „Jabłoński – jak pisze w posłowie do tomiku *Z sercem w obłokach* Markiewicz – otarł się nawet ze swoimi tekstami o profesjonalne, warszawskie wydawnictwa”. Zaproszono mnie do Warszawy (do wydawnictwa „Iskry”). Aleksander Nawrocki zapewniał, że wyda tomik moich wierszy. Mam nawet jego książkę z dedykacją: „Panu R.M. Jabłońskiemu, z podziękowaniem za kawał dobrej, Jego własnej poezji, a zwłaszcza za Jurysia”. Niestety, książki nie wydano. Krytycy pisali o moich wierszach różnie. Na przykład bardzo źle Karol Maliszewski, nieźle Jan Kurowicki (recenzja tomiku *Z sercem w obłokach* w „Gazecie Lubuskiej”), dobrze Jacek Łukasiewicz (w recenzji tekstu naukowego, w którym sięgnąłem po swoje liryki – wiązały się one z tematem artykułu; pisałem o psalmie biblijnym), pięknie Beata Mirkiewicz: „Kruchość uczuć, wrażeń, mijającego piękna tworzy specyficzną atmosferę tej poezji, buduje klimat spokojnej rezygnacji, namysłu nad ulotnością spraw i rzeczy” (*Mieszkam w wierszu. Antologia poezji lubuskiej*, red. M. Mikołajczak, B. Mirkiewicz, Zielona Góra 2001, s. 128). Bardzo ciekawie o powiązaniu moich liryków z życiem pisze w rozprawie doktorskiej Katarzyna Krysińska.

Gdyby „Iskry” wydały tę książkę... Być może wtedy moje poetyckie życie potoczyłoby się inaczej. Tomiki *Modlitwa do umarłych* (Zielona Góra 2001), *Z sercem w obłokach* (Zielona Góra – Wrocław 1998), *Epifanie albo w poszukiwaniu banału* (Zielona Góra – Wrocław 1999) ukazały się dzięki przypadkowemu spotkaniu Andrzeja Bucka (te dwa ostatnie). Od roku 1999 mógłbym napisać kilka niezłych książek poetyckich, ale nie ma wydawcy (pieniędzy na wydanie). W tej chwili mógłbym złożyć do druku tomik wierszy, ale... przez te 40 lat zmieniło się we mnie wiele. Mój bunt przybiera inne formy – nie jest już ostry, gwałtowny – to raczej bunt wyciszenia, namysłu – po burzy zawsze przychodzi słońce. Jedno nie zmieniło się na pewno: chciałbym wydawać książki poetyckie, bo pisze się nie do szuflady, pisze się dla czytelnika.

MS: W ostatnich latach sporo miejsca w swojej poezji poświęca Pan sprawom wiary, religii. Te wiersze mają często charakter kontemplacyjny. Jeśli jest bunt, to wobec świata, jeśli zwątpienie – to skierowane w stronę człowieka. Czy wiersz jest dla Pana azylem? Czy stworzył Pan sobie jakiegokolwiek bariery w pisaniu (powiedział Pan sobie kiedyś: tego nie napiszę, bo to mogłoby obrazić czyjeś uczucia, to jest zbyt szczere, to może być obrazoburcze)?

RMJ: Tak. Wiele moich tekstów w różny sposób wiąże się z religią i wiarą. Wynika to między innymi z moich zainteresowań naukowych. Moja habilitacja jest poświęcona Biblii. Habilitacji nie pisze się w ciągu roku – to praca długotrwała i czasami bardzo

trudna. W toku pisania rozprawy habilitacyjnej czytałem wielokrotnie teksty biblijne. Niektóre, na przykład Ewangelie, kilkadziesiąt razy. Nowy Testament czytałem w wersji oryginalnej (po grecku) – w Polsce opublikowano wydanie interlinearne: tekst grecki jest tłumaczony na język polski. Porównywałem różne przekłady (np. Jakub Wujek, Biblia Jerozolimską, Biblia Poznańska, Biblia Tysiąclecia). To musiało wpłynąć na wiersze, które piszę. Sądzę też, że liryka wiążąca się z religią jest najczęściej bardzo interesująca – mówi bowiem o tym, co jest trudne do wyrażenia słowami.

Wiersze często dotyczyły mojego życia. Na przykład: opublikowałem w „Radarze” (pismo ogólnopolskie) wiersz *Na śmierć psa zabitego przez ludzi* (opisywał on prawdziwe wydarzenie, śmierć psa mojej siostry – przejechał go samochód). Pod wierszem podawano adresy autorów. Dostałem wiele różnych listów i podarunków (np. bardzo ładny obraz olejny nawiązujący do motywów wiersza). Ktoś napisał, że poezja polska schodzi na psy (świadczył o tym mój wiersz). Ale ktoś inny uważał inaczej: „To piękny, wzruszający, filozoficzny, smutny wiersz – jest dowodem, że potrafisz, Poeto, prawdziwie kochać”.

Moje wiersze są szczere, czasami obrazoburcze. Nigdy jednak nie obraziłem w nich konkretnego człowieka – to jest granica, której nie można przekroczyć. Nie ma do tego prawa nawet największy, genialny poeta.

MS: Myślę, że wiersz *Na śmierć psa zabitego przez ludzi* jest jednym z najlepszych Pana tekstów. A co do wierszy religijnych – czy nie ma Pan wrażenia, że jeśli wyrazimy się krytycznie o czymś wierszu o tej tematyce, to będzie to odebrane przez autora jako atak na jego religijność/światopogląd. A przecież to obszar literatury; w dodatku w wierszu religijnym bardzo łatwo o patos, klisze językowe, schematy, nieudolne archaizacje. Księdzu Janowi Twardowskiemu udało się świetnie to obejść. Jaki ma Pan sposób na to, żeby nie wpaść w pułapkę religijnego kiczu?

RMJ: Twardowski jest tylko jeden, a ja... Nie mam żadnego sposobu, by ustrzec się przed religijnym kiczem. Być może niektóre moje teksty o religii i wierze są kiczowate. Ale w tej sferze (*sacrum*) dzieje się coś dziwnego. Mam kilka książek z wyborem wierszy o wierze. Podziwiam wielkich (np. Herberta, Lieberta, Pasierba, Grochowiaka). Są tam również utwory poetów mniej znanych, czasami nieporadnych. Żaden tekst jednak mnie nie razi, ze spokojem znoszę nawet rymy częstochowskie. To jest tak jak ze sklepami w sanktuariach. Wiele tam tandety, na przykład taniutki obraziczki z Matką Boską Częstochowską – ale obok drogie i piękne ikony. Wszystkie są potrzebne, bo ludzie je kupują. I wieszają na ścianach. Ważne jest to, że człowiek widzi na obrazku kogoś, kogo stara się zrozumieć i kochać – Boga, Jego Matkę, jakiegoś świętego. Można to (swoiste funkcjonowanie sfery *sacrum*) ukazać również za pomocą refleksji o muzyce. Przepotężny Bach (np. *Pasja według świętego Mateusza*) i – nieco jarmarczna – *Ballada*

licheńska. Każda z tych płyt – według mnie – jest wartościowa i piękna. Są bowiem formą poszukiwania i przeżywania tego samego Boga.

MS: Prowadzi Pan na Uniwersytecie Zielonogórskim warsztaty kreatywnego pisania poezji i uczy Pan od wielu lat w szkole. Czy według Pana studenci chcą pisać kreatywnie, czy potrafią wychodzić poza schematy myślowe? Czy szkoła nie gasi własnej twórczości?

RMJ: Szkoła może kształtować kreatywną postawę ucznia, ale może tę twórczość – użyję mocnego słowa – tłamsić. Napisałem kilka książek z zakresu dydaktyki literatury – pokazuję w nich, w jaki sposób uczniowie mogą stać się twórcami. Warto wspomnieć o skróconej wersji rozprawy doktorskiej (*Liryka XX wieku na lekcjach języka polskiego*, Warszawa 1998). Władysław Tatarkiewicz twierdził, że „człowiek jest skazany na twórczość”. Od wielu lat organizuję w szkole konkurs literacki – teksty, które piszą uczniowie (np. baśnie, opowiadania, legendy, wiersze), wskazują na to, że naprawdę są „skazańcami”. Prowadzę na Uniwersytecie Zielonogórskim warsztaty pisania poezji. Studenci są różni. Są tacy, którzy dobrze się czują w roli odtwórcy (np. przedstawiają na podstawie wskazanej literatury tropy stylistyczne czy gatunki liryczne), ale wielu z nich woli zadania twórcze (np. pisanie tekstów poetyckich). Trzeba mieć świadomość, że kształtowanie postawy twórczej jest bardzo trudne i wymaga stosowania różnych metod. Niestety, osiągnięcie tego pożądanego celu nie jest łatwe do zmierzenia, czasami ziarno rzucone w ziemię przynosi plon dopiero po kilku latach.

MS: Dziękuję za rozmowę. Życzę obfitych plonów.